

PYTANÍ WIELE

Ostatnio nastała moda na pisanie prawa geodezyjnego. Cóż, lepiej późno niż wcale. Ale dlaczego nie bierze się za to urząd odpowiedzialny za geodezję, tylko grupy przedsiębiorców?

JERZY PRZYWARA

Widocznie niezłe doskwiera im ustawa *Prawo geodezyjne i kartograficzne*. Jak wiadomo, na nią zrzucane są wszelkie grzechy. Grzechy administracji i firm. Cudze i własne. Prawdziwe i urojone.

Trudno w to uwierzyć, ale w ciągu ostatnich sześciu lat mamy już ósmego ministra zajmującego się geodezją. Za rządów SLD zaproponowano nam lifting zabytkowej ustawy z 1989 roku. Biedzono się nad tym ponad 3 lata, a po długiej dyskusji w Sejmie i tak wszystko wylądowało w koszu. Kolejne dwa lata zmarnowała ekipa PiS z przystawkami, która nie potrafiła zaproponować nawet jednego artykułu nowego prawa. A ileż to było zapowiedzi, jakież olśniewające perspektywy, ile poklepywania po plecach. Najnowsza ekipa (z PO), jak dotąd, też nie wydała z siebie „geodezyjnego” głosu.

Czy można się więc dziwić, że ludzie wzięli sprawy w swoje ręce?

Ciekawym obyczajem ostatnich lat jest to, że główny geodeta kraju pozostaje w opozycji do wiceministra nadzorującego geodezję. Tak było z Jerzym Albinem i wiceministrem Markiem Bryksem (próba likwidacji GUGiK), a później z wiceministrem Piotrem Styczniem, który utrudniał mu życie, jak potrafił. Nie dość, że dokumenty istotne dla projektów unijnych trzymał w ministerialnych szufladach przez długie miesiące, to jego szef (Jerzy Polaczek) cofnął GGK upoważnienie do przygotowywania aktów prawnych, choć sam nie przygotował żadnego. Nowy GGK (Wiesław Potrapeluk) z każdym ważniejszym papierem także musiał biegać do swego pryncypała (siedzącego już w MSWiA), a na odpowiedź wiceministra Piotra Piętaka czekać miesiącami. Nie mając inicjaty-

wy legislacyjnej, GGK mógł tylko kibicować zespołowi powołanemu przez PiS do przygotowania nowego *Pgik*. Tak czy owak, nie stało się nic, co przybliżyłoby nas do nowej ustawy. Brak konkretów w tezach do jej projektu opracowanych przez tzw. zespół Piętaka i półoficjalna forma ich opublikowania sprawiły, że większość organizacji i tzw. autorytetów nie chciała ich komentować, unikając otwartej krytyki urzędującego ministra.

Dlaczego o tym przypominam? Żeby pokazać panujące obyczaje i dowiedzieć, że przesunięcie geodezji do MSWiA niczego nie poprawiło. Tak źle jak dzisiaj, dawno już nie było. Po Bryksie, Styczniu i Piętaku pozostają rozgrzebane projekty o wartości dziesiątków milionów złotych i kupa niewydanej kasy. Nadal nie ma żadnej całościowej wizji rozwoju geodezji i geoinformacji w Polsce. Na stronach internetowych GUGiK straszy atrapa Geoportalu pracująca na pożyczonym oprogramowaniu. Siecią, ale pajęczą, pokryła się IPE. A ekipa powiatowych mędrców powoli ewakuuje się z centrali, bo w Warszawie życie jest drogie, a roboty po pachy.

Pewnie dlatego ludzie wzięli sprawy w swoje ręce.

Bez głównego geodety kraju w randze wiceministra i, co zrozumiałe, bez inicjatywy legislacyjnej z jego strony nic się nie zmieni. To jest sama góra, a co w województwach? Nie jest tajemnicą, że są duże zastrzeżenia zarówno do roli, jak i samego działania wojewódzkich inspektorów nadzoru geodezyjnego i kartograficznego (WINGiK-ów). Teoretycznie wiadomo, czym mają się zajmować i gdzie jest ich miejsce. Ale faktem jest, że ich kompetencje dublują się z zakresem działania geodetów marszałkowskich, a czasami robią nie to, co powinni. Gdy bliżej przyjrzeć się ich umiejscowieniu w strukturach urzęd-

dów wojewódzkich, widać niezły bałagan. WINGiK równie dobrze może być bowiem dyrektorem kilkudziesięcioosobowego wydziału geodezji, jak i kierownikiem trzyosobowej komórki podlegającej drugiemu zastępcy szefa wydziału. Inna sprawa, że w tym pierwszym przypadku geodezja pozostaje na marginesie działalności, najważniejsza jest gospodarka nieruchomościami. Coś z tym w końcu trzeba zrobić.

Wiadomo też, że mimo szczerych chęci, inspektorzy ci niewiele mogą zdziałać w sprawie nadzoru i kontroli. Niskie płace uniemożliwiają zatrudnienie w wydziałach osób o wysokich kwalifikacjach. Normą jest, że w jednych województwach wykonuje się w ciągu roku kilkadziesiąt kontroli, a w innych zaledwie kilka. Do absurdu posunięte oszczędności w pewnym urzędzie skutkowały tym, że WINGiK mógł tylko pomarzyć o służbowym laptopie, a żeby skserować 100-stronicowy dokument, musiał pisać podanie o zgodę do dyrektora administracyjnego.

Tę chorą sytuację ugruntował były szef MSWiA Ludwik Dorn. Co prawda, zaczynał swe urzędowanie od przeglądu struktur urzędów wojewódzkich, ale na tym się skończyło. Reforma nie dotarła do geodezji.

W urzędach marszałkowskich też jest nie najlepiej. Wojewódzkie ośrodki dokumentacji geodezyjnej i kartograficznej mogą równie dobrze liczyć kilkadziesiąt osób, jak i kilka. Jeden WODGiK może być uzbrojony po zęby „firmą”, inny – jednostką przeznaczoną przez marszałka do likwidacji. W niektórych województwach geodeci marszałkowscy prą do przodu, nie oglądając się na ospałą centralę, w innych zwycięża kunktatorstwo i wycofywanie się z wszelkiej aktywności, aby tylko nie narazić się miłośnicwie panującemu układowi.

Między innymi dlatego ludzie chcą zmian w administracji.

WIdźmy dalej w dół. Samorządowa władza powiatowa, jak wiadomo, sama sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Bo główny geodeta kraju razem z ministrem i premierem niewiele mogą staroście i geodecie powiatowemu zrobić, co swego czasu doskonale unaoczniał konflikt w powiecie wołomińskim. Jak dużo jest do naprawy na samym dole, świadczą nie tylko przetargi wygrywane ciągle przez te same firmy czy zamówienia na kwoty oscylujące tuż poniżej ustawowych progów obligujących do ogłoszenia przetargu publicznego (albo zastosowania bardziej efektywnej procedury odwoławczej). Dorabianie urzędników, jak kwitło, tak kwitnie, choć w bardziej wyrafinowanych formach. Niektórzy przy tym ostentacyjnie manifestują, że będą dorabiać, bo mają nędzne pensje.

Ale czyż nie mają racji? Czyż nie jest prawdą, że coraz trudniej znaleźć pracownika, który przyjdzie do PODGiK-u za stawki oferowane przez powiatową administrację? Czyż nie jest tak, że pracujący w ośrodku, nie ma się szans na zdobycie uprawnień zawodowych? Czyż na barki powiatowej administracji nie zrzucano interpretacji pogmatwanych przepisów i egzekwowania artykułów, które życie wyprzedziło o całe dziesiątki lat? To chleb powszedni powiatów.

Do tego dochodzi aspekt związany z kontrolą dokumentacji dostarczanej do PODGiK-ów. To jest wąskie, konflikto- i korupcyjno-genne gardło polskiej geodezji, w którym interes biznesu (szybko oddać robotę), ściera się z interesem państwa (przyjąc do zasobu dobrze wykonane prace). Rozwiązanie systemowe szyte na miarę socjalistycznej gospodarki jest od wielu lat hamulcem procesu inwestycyjnego i powodem powszechnej irytacji. Co gorsza, doprowadziło do tego, że dla wielu geodetów uprawnionych pieczęć inspektora kontroli przybita na operacie jest ratunkiem przed kompromitującą wpadką. Lepiej nie myśleć o tym, jak wyglądałyby niektóre mapy, gdyby nie kontrole w PODGiK. Faktem jest jednak, że nie da się sprawdzić wszystkich prac bez zwiększenia zatrudnienia w administracji o jakieś 300-400%. Dlatego jedna i druga strona udaje, że wszystko jest OK. Dopiero przy okazji takich tematów, jak wektoryzacja map katastralnych, wychodzi na wierzch, że system działający we-

dług założeń sprzed ćwierćwiecza nadaje się tylko do likwidacji. Ponieważ pieniądze na dodatkowe etaty i podwyżki płac w administracji raczej nie należy się spodziewać, logiczne byłoby przeniesienie części obciążeń na kogo innego (geodetę uprawnionego/firmę) i zajęcie się przez samorządowych geodetów tym, czego faktycznie oczekuje od nich: wójt, starosta, burmistrz czy prezydent miasta.

Być może dlatego nieurzędnicy zaczęli pisać nowe prawo.

VO bizantyjskich procedurach i irracjonalnych wymaganiach stosowanych w geodezji pisaliśmy już na tych łamach dziesiątki razy. Do znudzenia. Wrosły one w nasze życie jak pasożyt. Niektórzy wykonawcy nie wyobrażają sobie, że są miejsca w Polsce,

się nazywa. Radosna powiatowa twórczość kwitnie w najlepsze. Podobnie jest z wymaganiami inspektorów kontrolujących roboty, kartami budynków, standardami, opłatami czy niektórymi (kompromitującymi) pomysłami geodetów powiatowych, jak chociażby ten ostatni, notabene autorstwa wiceszefa Forum Geodetów Powiatowych (GEODETA 11, 12/2007). Wszystko to w złym świetle stawia geodetów i obniża rangę zawodu. Ta miała ponoć wzrosnąć z chwilą przejścia do MSWiA, ale jakoś tego nie zauważyłem. Za to pewna pani architekt coś dostrzegła, gdy o mało nie dostała apopleksji po wizycie w sprawie przyłącza gazowego złożonej jakieś cztery tygodnie temu w podwarszawskim ośrodku dokumentacji. Tam bowiem uświadomiła sobie, że przez geodezję ogrzewanie swego zamieszkałego domku uruchomi dopiero po nadchodzącej zimie. „Przez geodezję” – tak mi powiedziała.

Czy rangę zawodu może podnieść labirynt przepisów dosłownie przeczolgujących obywatela i inwestora przez geodezyjną administrację?

Nie dziwny się zatem, że ludzie chcą gruntownych zmian.

VI Mowa była o geodetach paprzących robotę. Teoretycznie przed „fachowcami”, którzy mierzą budynki bez wychodzenia z samochodu, wydrapują treść z urzędowych map, fałszują pieczętki lub podpisy oraz nie znają obowiązujących instrukcji i przepisów, powinna nas chronić procedura nadawania uprawnień zawodowych i system kontroli. Teoretycznie. Tak jednak nie jest, bo materiał lepszy jest wypierany przez gorszy. Dlatego już niebawem rzetelność może być odnoszona do pokolenia kształconego w geodezyjnym fachu w czasach komuny, tak jak wcześniej było z przedwojennymi inżynierami. I chociaż wielu taka perspektywa kojarzyć się pewnie będzie z układem lub agenturą, to nie obalą prawa sformułowanego w końcu przez samego Kopernika.

System nadawania uprawnień jest jednak anachronizmem i niczego nie załatwia. Nie pomoże mu ani zwiększanie, ani zmniejszanie liczby zakresów i mnożenie pytań egzaminacyjnych z już absurdalnych 1200 do 3 czy 5 tysięcy, ani komisje egzaminacyjne złożone z najwybitniejszych nawet fachowców. Nie od-



Albrecht Dürer, Studium, Dłonie z biblią

w których na przyjęcie inwentaryzacji czeka się zaledwie jeden dzień, a odbitkę mapy można dostać od ręki. Tak jak niektórzy urzędnicy nie wyobrażają sobie, że można się obejść bez ich łaski i bez ich pieczętki. W czterech podwarszawskich powiatach, żeby nie sięgać daleko, są cztery różne sposoby kompletowania operatów. Gdyby tak przemierzyć Polskę wzdłuż i wszerz, uzbierałoby się pewnie ze dwieście różnych wzorców. A przecież jest tylko jedno rozporządzenie na ten temat, regulujące, co jest czym i jak

niesie to żadnego skutku, bo za wykonywaniem zawodu geodety uprawnionego nie idzie pełna odpowiedzialność za wypuszczony produkt. Dzisiaj jest ona rozmyta przez gąszcz złych przepisów, a gdy przychodzi co do czego, jest skutecznie eliminowana przez środowiskowe więzi, lokalne układy, a czasami zwyczajne lenistwo.

Czy zatem można się dziwić, że wielu z nas ma tego dość?

VII Powie ktoś, że przecież wystarczy respektować obowiązujące przepisy. No więc nie wystarczy. Liczba knotów legislacyjnych przyprawia o ból zębów. Nawet jeśli coś nie jest buble, to często nie wytrzymuje próby czasu. I państwo powinno się tym problemem zająć.

Czy ktoś jednak słyszał ostatnio, żeby firma fotolotnicza oddawała własne zdjęcia lotnicze do CODGiK-u albo żeby geodeta dołączał do operatu informację o zniszczonych punktach osnowy?

Chyba doszliśmy do mistrzostwa świata w absurdzie. Administracja łamie przepisy, zmuszając do tego samego przedsiębiorców. Czymże bowiem są umowy zawarte pomiędzy ARiMR a firmami, w których koszt materiałów geodezyjnych jest sto razy niższy niż obowiązujący w państwowym cenniku? Co prawda, miało to być usankcjonowane stosownym rozporządzeniem, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Teraz firma ma ważną umowę, a państwo ważny cennik. Ciekawe skądinąd, kto poniesie za to odpowiedzialność i czy zamiatanie pod dywan problemu związanego z wielomilionowym zamówieniem z Agencji nie jest większym skandalem niż doprowadzenie do tej sytuacji.

A czy skandalem nie są statuty WBGi-TR-ów? Czy nie jest nim zawłaszczenie przez państwo prac scaleniowych? Czy przepisy te są w ogóle zgodne z interesem państwa i funkcjonującym w nim modelem gospodarki? Warto by zapytać obrońców tego stanu rzeczy, czemuż to prywatna firma ochroniarska, a nie państwowa policja pilnuje ich gabinetów przy Wspólnej i Żurawiej?

Czy fikcją nie jest Państwowa Rada Geodezyjna i Kartograficzna, która ma doradzać głównemu geodecie kraju, a jest od kilku lat niema? Skoro tak, to albo należy ją zlikwidować, albo nadać jej inną rangę. A czy taką samą fikcją nie są umowy o współpracy zawierane między GGK a wojskiem? Było ich już kilka, tylko ostatnio jakoś tak się składa, że cy-

wile zostają na lodzie. Ponieważ jednak na żelazne zabawki panów z lampasami, ich mapy topograficzne i GIS-y kasa idzie z naszych podatków, to wzajemne relacje powinna chyba regulować ustawa.

A czymże jest czekanie przez cztery miesiące na odpowiedź od WINGiK-a, o czym donosi w swej skardze do GGK pewna mieszkanka Małopolski? Czyż ten przepisowy termin 14 dni, które ma urząd na udzielenie odpowiedzi obywatelowi, też nie jest fikcją?

Może dlatego ludzie chwytają za pióra?

VIII Próbowałem ostatnio znaleźć na stronach GUGiK jakąkolwiek informację (najlepiej protokoły) na temat kontroli przeprowadzonych przez ten urząd w ośrodkach dokumentacji, albo o postępowaniach, w wyniku których ukarano by geodetów uprawnionych, albo o kontroli samego urzędu. Nie znalazłem nic. Tak jakby nic się nie działo. A przecież tak nie jest. Na przykład nie tak dawna kontrola śląskiego WINGiK-a w urzędzie miejskim w Siemianowicach Śląskich wykazała liczne nieprawidłowości, które miały miejsce pod boki tamtejszego geodety powiatowego, i przybliżyła nam współpracę urzędu z pewną katowicką firmą. Są konkretne wnioski i zalecenia. Jej wyników nie ma jednak nawet w BIP-ie urzędu miasta.

Jak pamiętamy, miało być transparentnie i praworządnie. Miało być sprawiedliwie. Bez równych i równiejszych. Jak jest, widzimy. Pewnie to, iż geodeta powiatowy z Siemianowic Śląskich jest członkinią Forum Geodetów Powiatowych i kandydowała na stanowisko śląskiego WINGiK-a, nie ma tu nic do rzeczy.

Ale czegoż można wymagać od urzędu miejskiego, jeśli centralny organ, jakim jest GUGiK, zataja przed obywatelami ceny w przetargach, jeśli nie informuje o zmianach kadrowych na dyrektorskich stołkach, jeśli tajemnicą okryte są powoływane w nim zespoły? Wszystko jest tajne przez poufne, jak za komuny. Trudno znaleźć sensowne wytłumaczenie skrywania zarówno podstawowych dokumentów służących edukacji prawnej społeczeństwa i prewencji (orzeczenia sądów, wyniki kontroli), jak i zwykłych informacji. Jedynie chyba to, że władza panicznie boi się obywateli i że ma coś do ukrycia.

Nic dziwnego, że obywatele wzięli sprawy w swoje ręce.

IX Skoro wcześniej była mowa o kasie, to pogadajmy i o tym. W rozporządzeniu Rady Ministrów z 28 marca 2007 roku w sprawie informatyzacji państwa na lata 2007-2013 jest mowa o ponadsektorowych projektach teleinformatycznych. Jako zadania priorytetowe określono w nim m.in. budowę: systemu katastralnego (który to już raz?), georeferencyjnej Bazy Danych Obiektów Topograficznych (która to z kolei?) i systemu TERYT2 (ten według numeracji jest dopiero drugi). Na te trzy programy zaplanowano wydanie w latach 2007-2010 kwoty 395 mln złotych. Wychodzi prawie 100 mln rocznie. Fundusze mają pochodzić z budżetu państwa, PFGZGiK i Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego, chociaż nie podano, z której przegródki ile. A ile z tej kwoty wydano w 2007 roku? Ano nic. Zastanawiające, że nikt się tym nie martwi.

Za to niektórzy zbawcy geodezji martwią się tym, że jedna z naszych firm kupiła sobie lotniczą kamerę cyfrową, z czego niby miałyby wynikać, że przyjdzie po prośbie do GUGiK-u. Nie martwią się tym, że nie ma zamówień za 100 milionów złotych, że w zakresie ortofotomapy kraju karty rozdaje agencja od rolników, a nie urząd od geodezji, i że GUGiK nie generuje żadnego zamówienia popychającego nas do czołówki teledetekcyjnej. Martwią się o kasę prywatnej firmy. Jakby im była coś dłużna.

Można mieć tylko nadzieję, że fachowcy od „bezinteresownej zawiści” i ich przyjaciele ze śląskiej egzekutywy tym razem nie zostaną dopuszczeni do poprawiania geodezyjnej rzeczywistości.

X A martwić się trzeba, tylko że o coś zupełnie innego. Bo jeśli mamy się rozwijać, to musimy udostępnić zasoby, wychodzić z propozycjami na zewnątrz i być ekspansywnymi, a nie wysyłać doniesienia do prokuratury na twórców systemów GIS (co nie tak dawno przerabialiśmy), albo udawać, żeśmy zjedli wszystkie geoinformatyczne rozumy.

A czy wiecie, że warszawska gazownia ma taką bazę danych o swojej sieci, o jakiej geodezja może tylko pomarzyć? Za pół roku, gdy system ten zostanie ukończony, to my będziemy ich klientem, a nie odwrotnie. Czy wiecie, że porozumienie zawarte ostatnio pomiędzy geodetą m.st. Warszawy a Komendą Stołeczną Policji przewiduje, że udostępni ona geodezji siatkę ulic i bazę adresową? Nie

my im, tylko oni nam! A czy wiecie, że duże firmy dysponują kadrą młodych, energicznych ludzi z pomysłami, znających języki i potrafiących zarządzać wielomilionowymi kontraktami? Na tym tle doprawdy żenujące są opowieści z geodezyjnej centrali o kłopotach w realizacji programów unijnych. Pewnie by ich nie było, gdyby zatrudniono tam fachowców od zarządzania, a nie od czytania prezentacji w Power Poincie.

Ale o czym tu mówić, skoro nie tak dawno nasi mędrcy katastralni z GUGiK zaproponowali, by każdy punkt granicy stabilizować betonowym znakiem. Kiedy cały świat robi kasę na systemach informacji przestrzennej, na lokalizacji danych, na teledetekcji i przetwarzaniu geodanych, na elektronicznych wypisach i wyrysach, oni lobbują na rzecz... cementowni. Podczas gdy głównymi klientami systemów katastralnych np. w Niemczech, Holandii czy Austrii są banki oraz kancelarie notarialne i prawne, u nas nadal są nimi geodeci. Gdy na Zachodzie weszli w supernowoczesne technologie, w geoinformatykę, w systemy do analiz przestrzennych i trójwymiarowe modele, u nas geodezyjna „awangarda” oferuje szkolenia na temat wartości zakurczonych operatów państwowego zasobu, a grono profesorów geodezji zrobiło perłą w koronie szacowanie nieruchomości, gdzie nie ma żadnych perspektyw technologicznych.

Czyż nie są to wystarczające powody do wprowadzenia gruntownych zmian?

X | Obudźcie się wreszcie! Bo pociąg już dawno odjechał, a kataster to nie cały geoinformatyczny świat, lecz ledwie jego skrawek. Globalny rynek GIS osiągnął w 2006 roku wielkość ponad 3,6 mld dolarów. W 2007 roku wydatki na rynku teledetekcyjnym przekroczyły kwotę 7 mld dolarów, a w tym roku w sektorze GPS wyniosą astronomiczną sumę 30 miliardów. To pokazuje, w którą stronę idzie czołówka. My od lat nie wychodzimy poza dyskusję o bałaganie w ewidencji gruntów, geobazach pozbawionych standardów, udostępnianiu danych, samorządzie zawodowym, katastrze, PODGiK-ach itd. A jak przychodzi co do czego, to okazuje się, że król jest nagi. Że administracja nie jest w stanie przedstawić żadnej nowoczesnej wizji rozwoju zawodu i bran-

ży. To, co nam się proponuje, to geodezja widziana z perspektywy korytarza w powiatowym ośrodku. Geodezja sżyta na miarę urzędnika w zarękwkach albo ubezwłasnowolnionego mierniczego. Wystarczy zagłębić się w ostatnie dzieło wypuszczone przez GUGiK, a dotyczące cen za dane i usługi ODGiK, albo posłuchać, co wygadują tuzy centralnej, powiatowej czy stowarzyszeniowej geodezji, żeby nie mieć złudzeń. Widać wyraźnie, że spora część środowiska nie jest zainteresowana wprowadzeniem jakichkolwiek zmian, mimo wygłaszania jakże odmiennych deklaracji. Widocznie niektórym jest dobrze w tej mętnej wodzie.

Czy to nie są wystarczające argumenty za parciem w kierunku zmian?



Albrecht Dürer, *Dłonie*

XII | Trzeba było dopiero unijnego programu IACS, abyśmy mieli ortofotomapę dla całej Polski i całkiem nieźle już zaawansowane porządkowanie i informatyzację ewidencji gruntów. Trzeba było programu PHARE, żeby ruszono w Polsce sprawy katastru. Trzeba było unijnej dyrektywy dotyczącej walki z hałasem, aby zaczęły u nas żyć modele 3D miast (wcześniej ich producenci byli odsyłani z kwitkiem przez samorządy). W końcu potrzeba było unijnego bąta INSPIRE, żeby co światlejsi przejrżeli na oczy i zaczęli bić na alarm. Bo jest wiele do zrobienia, a my

wleczeni się w europejskim geoinformatycznym ogniu. I problemem nie jest tu tylko brak pieniędzy.

Czy zauważyliście, że każda nowa ekipa zmienia nazwę systemu katastralnego? Na swoją, bardziej wydumaną. Chociaż w samym systemie nic się specjalnie nie zmienia. Podobnie jest z TBD czy nazwami departamentów w GUGiK. Bo każda kolejna władza najpierw wywraca wszystko do góry nogami, potem znaczy geodezję swoimi nazwami jak pies krzaczki, a w końcu nie starcza jej czasu na realizowanie projektów. Potem przychodzi następna ekipa i robi to samo. Wszystko rozgrzebane, a nic niedoprowadzone do końca.

Z tym też wypadałoby skończyć.

XIII | A jeśli wziąć pod uwagę ogromne środki, które do 2013 roku zostaną przeznaczone na budowę różnego rodzaju systemów informacji przestrzennej, to okazuje się, że stoimy przed wyjątkową szansą i wielkim wyzwaniem. Niestety, koleje losów Zintegrowanego Systemu Katastralnego, Topograficznej Bazy Danych, Integrującej Platformy Elektronicznej, Geoportalu czy ASG-EUPOS nie nastroją optymistycznie.

Co gorsza, w ostatnich dwóch latach straciliśmy parcie do przodu. Z pewnością popełniamy wcześniej sporo błędów, ale na pewno nie byliśmy, jako branża, w defensywie. Teraz mamy odwrót. Potwierdzeniem tego jest chociażby „Rzeczpospolita” z 17 grudnia ubiegłego roku, w której zamieszczono 8-stronicowy dodatek Państwowego Instytutu Geologicznego na temat dyrektywy INSPIRE i geoinformacji. Pytam: dlaczego już rok czy dwa lata temu czegoś podobnego nie zamieścił GUGiK? Na co czekamy? Aż inni zajmą nasze miejsce?

Pewnie także dlatego przedsiębiorcy piszą własną wersję ustawy.

Obojętnie jednak, kto ją stworzy, najważniejsze jest to, czy jej autorzy zechcą wyprowadzić zawód z geodezyjnego zacianka. Czy będą myśleć o jego przyszłości, a nie historii. Czy będą patrzeć przez pryzmat dobra wspólnego i dobrze pojętej ochrony naszego interesu, a nie tylko interesu urzędnika albo przedsiębiorcy. Czy wystarczy im do tego wszystkiego odwagi i determinacji.

JERZY PRZYWARA